

Józef Bachórz

Pamiętnik niezwyklej ucieczki z Syberii

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 28, 15-29

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Józef Bachórz

PAMIĘTNIK NIEZWYKŁEJ UCIECZKI Z SYBERII

1

Był roziskrzony wieczór – księżycowy i gwiazdny – 6 lub 8 lutego 1846 roku. Mroźny po syberyjsku, a więc pewno ze trzydzieści stopni poniżej zera według skali Celsjusza. Tak zwykle bywa o tej porze roku w okolicach Omska.

Okutany w kompletowany w skrytości długo i starannie zimowy strój syberyjskiego chłopca, wymknął się tego wieczoru z osady, w której odbywał karę, i przekroczył swój Rubikon: skuty lodem Irtysz. Do miasteczka Tara, znajdującego się za ujściem do Irtyszu rzeki o tej samej nazwie, było mniej więcej 12 wiorst¹. Należało dotrzeć tam jak najprędzej i jeszcze prędzej stamtąd umykać, by o świcie, gdy roześlą pogonie, znaleźć się jak najdalej od „zakładu”. Szczęściem nadarzyła się okazja: parokonnymi sankami mknął w kierunku Tary jakiś wieśniak. Po krótkim zwyczajowym targu podwiózł za 50 kopiejek brodatego „swojaka”, dobrze gadającego po rosyjsku i ubranego po tutejszemu. Z Tary łatwo było wynajętą podwodą dotrzeć w pobliże Uralu. Wiodła stąd droga zimowa do miasta Irbit, podówczas ważnego centrum handlowego, w którym przez cały luty trwał wielki jarmark.

Tak się zaczęła sławna ucieczka Rufina Piotrowskiego z zesłania.

Miał wtedy 40 lat i żelazne zdrowie, a doświadczeń zdążył już zaznać wielu. Bez specjalnych przygód przeżył tylko lata dziecięce i młodzieńcze na Ukrainie, gdzie w okolicach Radomyśla przyszedł na świat i gdzie – w Kaniowie nad Dnieprem – uczył się w szkole bazylikańskiej². Wiek męski zaczął się dlań w 1831 roku: zgłosił się do powstańczego korpusu gen. Józefa Dwernickiego na Wołyniu. Gdy Dwernicki ku rozżaleniu ochotników uchodził z korpusem do Galicji, Piotrowski zawrócił do Warszawy i wstąpił do dywizji gen. Macieja Rybińskiego. Bił się pod Ostrołęką, a potem w obronie stolicy. Po klęsce poszedł – jak wielu – emigracyjnym szlakiem do Francji. Biedował i politykował jak większość

uchodźców, wypatrywał odmiany, wierzył w rychłe nadejście szansy powrotu. W 1837 roku związał się z Towarzystwem Demokratycznym Polskim. Aristokratom nie ufał. Sądził, że demokraci przyspieszą rytm dziejów, że lada rok, lada miesiąc coś się zacznie.

Nie zaczynało się. Postanowił sam przydać impulsu wydarzeniom. Pewien napotkany w szpitalu paryskim Amerykanin za niewielką opłatą wyrobił mu paszport angielski na nazwisko Józefa Cattaro. Z tym paszportem zgłosił się do władz Towarzystwa Demokratycznego z gotowością pełnienia tajnych misji politycznych w kraju.

W 1843 roku przez Stuttgart i Wiedeń dotarł do Pesztu na Węgrzech. Próbował nakłonić Kossutha do współpracy z demokratami polskimi, ale rozmowa skończyła się fiaskiem: Kossuth nie okazał zainteresowania tematem.

Z Węgier przez Galicję Wschodnią dojechał do granicy rosyjskiej i udał się do Kamieńca Podolskiego. Zainstalowawszy się tam dawał lekcje języka francuskiego oraz oczywiście robił to, po co przyjechał: badał grunt pod konspirację, nawiązywał sekretne kontakty... Już w grudniu tegoż 1843 roku policja wytropiła jego działalność. Dalej rzeczy potoczyły się zwyczajną w takich sytuacjach kolejną: aresztowanie, śledztwo, zakucie w kajdany, sąd (w Kijowie) i wyrok: kara śmierci, zamieniona na dożywotnią katorgę. Do zdekonspirowania przysłużyli mu się dwaj rodacy, z których jeden okazał się opłacanym przez policję prowokatorem. W lipcu 1844 roku kubitka z katorżnikiem wyjechała z Kijowa, po miesiącu dotarła do Omska. Stąd skierowano go do pracy w gorzelnii rządowej w pobliżu Tary. Po krótkim okresie zatrudnień fizycznych (sprzątanie) wzięto go do biura. Praca okazała się łatwa, a dozór niezbyt uciążliwy.

Ucieczkę planował od początku. Najpierw myślał o zorganizowaniu niewielkiej grupy, ale zorientowawszy się w nastrojach kolegów i trudnościach przedsięwzięcia zbiorowego, postanowił ryzykować samotnie. Słyszał o wypadkach bezwiednego wygadania się wtajemniczonych i o możliwościach zdrady, za którą władze płaciły łagodzeniem wyroków – miał zresztą wspomnienia własne ze śledztwa w Kijowie – nie chciał, by podczas dochodzenia po jego zniknięciu ktokolwiek mógł ułatwić pościg lub stać się podejrzanym. Gdyby zaś mimo wszystko pogoń go dopadła – miał nie dać się wziąć żywcem.

Rozważał kilka możliwości. A więc: na wschód ku Morzu Ochockiemu i do Ameryki. Albo przez Kazachstan i Afganistan do posiadłości angielskich w Indiach. Albo rzeką Ural, a może Wołgą, dopłynąć do Morza Kaspijskiego i stąd do Turcji. W końcu wybrał wariant na północny zachód: dotrzeć na Ural, udać się ku rzece Peczorze lub Dźwinie Północnej i dostać się do Archangielska. Sądził – nie bez słuszności – że nie w tę stronę skierują się niechybnie poszukiwania zbiega, bo kto by pomyślał, że w tak trudną drogę się udał? W jakimś czasopiśmie petersburskim przeczytał, że do portu archangielskiego w sezonie żeglugi

przyływa do 500 statków, głównie cudzoziemskich. Obiecywał sobie dostać się na któryś z nich i w ten sposób wydostać się z Rosji do Anglii lub Francji.

Spod Omska do Archangielska miał mniej więcej taką odległość, jaka dzieli Warszawę od Madrytu: w linii prostej około 2200 km.

2

Ostatecznie udało mu się wydostać z Rosji, choć nie tędy, którądy sobie projektował: Archangielsk okazał się ledwie półmetkiem.

W dwa lata po ucieczce, kiedy w Europie kipiało od wydarzeń Wiosny Ludów, postanowił spisać swoje przeżycia. Przypuszczalnie spodziewał się, że opowieść o katordze i uwolnieniu się z niej będzie publikacją na czasie: przyniesie kolejne świadectwo polskiej niezłomności patriotycznej. Przedtem – w 1846 roku, w emigracyjnym „Dzienniku Narodowym” – opublikował krótki artykuł *Okrucieństwa moskiewskie dokonane na Polakach w Syberii*, informując między innymi o losach Piotra Wysockiego.

Główne swe dzieło zaczął pisać w sierpniu 1848 roku, ale zbyt się „rozpisał”, by zakończyć „w porę”. Życie zresztą wiódł nadal ruchliwe. Wyjechał z Paryża na Śląsk, potem do Galicji, następnie na Węgry (tu angażował się w organizowanie legionu polskiego) i do Wiednia, znów do Galicji – dopiero w Brukseli, w marcu 1850 roku rękopis był gotów. Okazało się, że jest ogromny. W roku następnym jego fragment opublikowano w „Przeglądzie Poznańskim”. Całość miała czekać na druk jeszcze dziesięć lat – ktoś ją w czasie tego czekania „stylizował”, bo ponoć Piotrowski nie „oszlifował” jej należycie.

Literatem oczywiście nie był i chyba nie ciągnęło go do pióra, choć zaświadczył, że władza nim wcale biegle. Po napisaniu *Pamiętników* niewiele już opublikował: chyba tylko *Podręcznik gramatyczny języka polskiego dla dzieci emigranckich [...]* w 1860 roku (uczył wtedy języka polskiego w Szkole Polskiej w Paryżu) i skrót *Pamiętników* pod tytułem *Przygody na Sybirze* ze znamienym w podtytułe wyjaśnieniem: *Opowiedział dla ludu i młodzieży ks. Pleban spod Śremu*, mistyfikującym, – jak widać – autorstwo (Poznań 1869 i kilka wznowień później – ostatnie w roku 1893). Opublikowane w latach 1860–1861 w Poznaniu w trzech tomach nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego *Pamiętniki z pobytu na Syberii* nie doczekały się wydań następnych. W roku 1902 ukazała się ich wersja skrócona – *Ucieczka z Syberii* – będąca specyficznym przez Jana Czubka opracowanym tomem trzecim pierwodruku. Specyficznym, bo z poprawkami, które nieraz zniekształcały intencje autora. Niewiele też mamy świadectw odzewu recenzenckiego na obie te publikacje. Pierwodruk poznański po ukazaniu się dwóch tomów w 1860 roku miał obszernie omówienie we lwowskim „Dzienniku Literackim”, a edycja Jana Czubka chyba tylko recenzję Michała Rollego w „Gazecie Lwowskiej”³.

Wzbudził jednakże Piotrowski niemałe zainteresowanie poza polskim obszarem językowym.

Otóż zaraz po ukazaniu się *Pamiętników* u Żupańskiego został w Poznaniu opublikowany w 1862 roku dwutomowy ich przekład na język niemiecki, dokonany przez Ludwiga Koeniga. W Paryżu w 1863 roku Julian Klaczko przygotował i wydał jednotomowe tłumaczenie na język francuski wybranych fragmentów, przejrane i zaaprobowane przez Piotrowskiego. Wydanie to miało wznowienia w roku 1870 i 1888, a natychmiast po ukazaniu się – już w roku 1863 – stało się podstawą tłumaczeń na kilka innych języków. I tak: w Sztokholmie ukazał się przekład na język szwedzki, w Kopenhadze na duński (jako tłumacz podpisał się Rud. Schmidt) i w Londynie na angielski. Po angielsku w tym samym roku wyszło jeszcze inne wydanie – też jednotomowe (z portretem autora i mapą jego wędrówki) – nakładem firmy mającej agencję w Nowym Jorku, sygnowane kryptonimem tłumacza E.S. W Nordkoepping ukazał się przekład rosyjski, przygotowany zapewne w środowisku emigrantów politycznych o orientacji antycarskiej, bliskiej Aleksandrowi Hercenowi. W roku 1864 z wersji opracowanej przez Klaczkę ukazało się tłumaczenie na język holenderski. Chronologicznie ostatni ze znanych nam przekładów, norweski (tłumaczem był Alf Harbitz) – też dokonany z wersji francuskiej Klaczki – ukazał się w Oslo w 1934 roku.

Miały więc *Pamiętniki z pobytu w Syberii* w wersji skróconej tłumaczenia na osiem języków i co najmniej jedenaście w nich wydań. Zapewne żaden z polskich pamiętników dziewiętnastowiecznych nie miał więcej.

Nie wiemy, co pisano o utworze Piotrowskiego tam, gdzie pojawiały się jego przekłady – jest to zadanie do podjęcia – wiemy natomiast, że edycję norweską w 1934 roku opatrzył wstępem Knut Hamsun, jak wiadomo laureat literackiej nagrody Nobla za rok 1920. Z faktu, że główna fala tłumaczeń i wydań *Pamiętników* za granicą przypadła na lata 1862–1864, można wnosić, iż okolicznością sprzyjającą ich upowszechnianiu były wypadki polityczne w Polsce: manifestacje patriotyczne w latach 1860–1862 oraz powstanie styczniowe. Wywołało ono ponowne zainteresowanie Polską, przygasałe po zrywach 1848 i 1849 roku, przyczyniło się w niektórych środowiskach opiniotwórczych na Zachodzie do odnowienia sympatii dla sprawy polskiej i roznieciło kolejne pytania o carski system represyjny, o zesłania i katorgę, o rolę Syberii w imperium rosyjskim itp.

Można sobie jednak wyobrazić, że wydarzenia, które na Zachodzie układały się w koniunkturę dla *Pamiętników* Piotrowskiego, niezbyt sprzyjały ich trzem tomom na ziemiach polskich. Nie był to przecież czas wznawiania grubych ksiąg wspomnień – choćby i sybirskich – lecz czas broszur politycznych i czas gorączkowych doniesień z miejsc rozgrywania się dramatu, a potem dla jednych czas trwogi i żałoby, dla drugich czas bolesnej konsternacji, a bywało, że i zawstydzenia, dla trzecich – dokumentowania nowych tragedii, które swą dojmującą aktu-

alnością, także i sybirskiego pejzażu martyrologicznego, przesłaniały niegdysiejsze zsyłki.

Można tedy zrozumieć, że wśród ognia pożaru powstaniowego i dymów pogorzelniska przyćmiła się heroiczna przygoda syberyjska z roku 1846. Należy też pamiętać, że wznawianie lub recenzowanie *Pamiętników z pobytu na Syberii* nie było możliwe na ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskim przez następne dziesięciolecie. Tego czynnika nie wolno przeoczyć zwłaszcza wtedy, gdy myślimy o dziewiętnastowiecznych reedycjach dzieł obszernych, stawiających wydawców przed większym ryzykiem finansowym. Pod panowaniem rosyjskim znajdowała się przecież największa część ówczesnego polskiego rynku nabywców książki. Wprawdzie wydawcy galicyjscy i wielkopolscy nieraz wznawiali utwory zakazane na „rynku” Królestwa i dawnych kresów wschodnich, by jakieś partie nakładów przemycić w tamte strony, ale nieustannie musieli się liczyć z perspektywą strat.

Z tym wszystkim trudno nie zauważyć z pewną dozą zdziwienia – zwłaszcza gdy się wie o polskiej wrażliwości na sukcesy naszych autorów za granicą – że w długim czasie historii pamiętnik Rufina Piotrowskiego zawieruszył się bardziej, niż należałoby się spodziewać, wśród setek innych wspomnień, służących głównie jako materiał dysertacji historycznych. Jest pewne, że w dziejach naszej literatury renoma Piotrowskiego nie przybliżyła się nie tylko już do sławy Maurycego Beniowskiego czy generała Józefa Kopcia – o tej sławie wszakże rozstrzygnęli Mickiewicz i Słowacki – lecz i do rozgłosu wielu autorów pamiętników dziewiętnastowiecznych o życiu literackim lub obyczajowym.

Przy tego rodzaju zdziwieniach łatwo by było o odpowiedzi proste. Łatwo by więc było mówić na przykład o tym, że działał tu – prócz wspomnianego splotu okoliczności dziejowych – również przypadek, czyli nie taki znów rzadki regulator miejsca ludzi w pamięci potomnych. Przypadek, który sprawia, że ktoś w swoim czasie ociera się lub nie ociera o wielkich, lub który sprawia, że dzieło interesujące nie trafia do czytelników z braku reklamy w stosownej porze. Albo przypadek wynikły z *embarras de richesse* polskiego pamiętnikarstwa w XIX wieku: przecież do dziś jeszcze publikuje się niebanalne wspomnienia, które długo „leżakowały” w rękopisach. W tym kontekście nie godziłoby się nawet napomykać o jakiejś wobec Piotrowskiego niesprawiedliwości, tym bardziej, że ze stanowiska „czysto” literackiego nie da się *Pamiętnikom z pobytu na Syberii* przypisać walorów na przykład *Pamiętników* Paska czy wspomnień *Trzy po trzy* Aleksandra Fredry.

Być może jednak, że oprócz odpowiedzi prostych pewne światło na skromną dotychczas obecność dzieła Piotrowskiego w naszej pamięci i w pisanych dziejach naszej literatury rzuci zawartość tego dzieła i wyłaniająca się z jego kart sylwetka duchowa autora.

Czytanie literatury memuarystycznej – pamiętników, wspomnień, dzienników – różni się od lektury utworów beletrystycznych, nawet jeśli pamiętnik urzeka nas urodą literacką. To przecież czujemy się tu inaczej zaproszeni do udziału w cudzym słowie niż przy śledzeniu opowieści fikcyjnych. Pierwszym niejako odruchem czytelniczym bywa „legitymowanie” pamiętnikarza „na okoliczność” przyczyn czy powodów, dla których pisze. Literata o to nie pytamy. Milcząco wychodzimy z założenia, że pisanie należy do jego powołania, obowiązku lub profesji. Osądzamy oczywiście według jakichś naszych kryteriów lub satysfakcji stopień udatności tego, co napisał, ale nie dociekamy jego szczególnego tytułu osobistego do imania się pióra. Memuarystę pytamy – chcemy wiedzieć, co go upoważniło do wyłamania się ze zbiorowości nie piszących o sobie. Czy to, że życie miał obfitujące w przygody? Czy to, że uczestniczył w wydarzeniach doniosłych? Czy to, że odgrywał w życiu zbiorowym ważną rolę? Czy to, że znał ludzi wybitnych? Czy to, że wiedział o życiu więcej lub przenikliwiej niż inni? Czy – że był duchowo bogatszy od innych? Czy – że miał dar opowiadania? A może odwagę szczególną powiedzenia prawdy przemilczanej przez innych? Itd., itd.

Bo też pamiętnikarzowi chcemy wierzyć inaczej niż wierzymy beletryście. Nasze osądzanie dzieła beletrystycznego – także tego, które się domaga realistycznych „rejestrów” naszego odbioru – wiąże się z podziwem (lub brakiem uznania) dla kreatorskiej wynalazczości autora jako twórcy fabuły, postaci, dialogów, walorów stylu, celności słów etc., dostarczających nam ukontentowań (lub rozczarowań) poznawczych, emocjonalnych czy estetycznych. Zdajemy sobie przy tym sprawę, że znajdujemy się w dziedzinie imaginacji i że to, co ma pozostać dla nas prawdą, wyraża się poprzez określony zespół konwencji, gier z konwencjami i naruszeń konwencji. Wobec pamiętnika mamy innego rodzaju oczekiwania, choć wiemy, że i tutaj nieuchronnie obowiązują pewne konwencje. Pamiętnik jednak obiecuje ich zredukowanie i uproszczenie. Zamiast skomplikowanych gier obowiązuje tu przecież „pakt autobiograficzny”, który zakłada identyczność autora, narratora i bohatera, z czego wynika zachęta do dosłownego traktowania tego, co czytamy, jako informacji solidnej i prawdomównej⁴.

Mamy tedy jako czytelnicy pewnego rodzaju prawo dopytywania się przede wszystkim, o czym pamiętnikarz pisze? – i prawo „taksowania” zawartości treściowej pamiętnika oraz wyróżniania tych dzieł pamiętnikarskich, które rzeczywiście dokumentują życie z niezwykłych zdarzeń złożone lub przynoszą wiadomości ważne o czasach i miejscach znanych memuarystcie bądź przedstawiają jego osobowość niepospolitą.

Pamiętnik Rufina Piotrowskiego zasługiwałby na naszą uwagę zapewne i wtedy, gdyby zawierał tylko sprawozdanie z przeżyć autora w roku 1831, jego uwagi o emigracji, przedostaniu się na Podole, procesie kijowskim i drodze do Omska oraz pobycie w „zakładzie” koło Tary. Ale zdarzeniem, które wyróżnia ten pamiętnik spośród innych tego typu utworów międzypowstaniowych, jest ucieczka z sybirskiego zesłania – ucieczka zdumiewająca. Przedzierał się bez mała 5000 kilometrów przez kraj nieznany i groźny. Ogromną większość trasy pokonał piechotą. Nie miał mapy. Nie miał broni – jedynie nóż za cholewą. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Ryzykował niemal przy każdym spotkaniu z ludźmi. Kilka razy wspomina w pamiętniku o śmiertelnych niebezpieczeństwach: zamarznięcia, osłabienia i choroby, pobłądzenia i zagłodzenia się, ataku drapieżnych zwierząt, a przede wszystkim „kompromitacji” przed kontrolerami wojskowymi i policyjnymi na drogach i w osadach. Raz podczas noclegu przeziębiony majaczył w gorączce – przeraził się po rozbudzeniu, bo go zaczęto wypytywać, po jakimu gadał... Pisząc już po wyjściu cało z przeróżnych obieży, raczej minimalizował grozę swojego położenia w czasie ucieczki, niż przesadzał w jej koloryzowaniu. Gdy się ogarnia myślą całą tę półroczną wędrówkę, to widać, że mimo znakomitej intuicji, mimo wyostrzonej czujności i mimo dobrego otrząskania się z „muzyckim” sposobem bycia, tej grozy było więcej niż szans dotarcia do celu. Doprawdy miał dużo szczęścia.

Po przyjeździe do Tary (a była noc) natychmiast ugodził się z jakimś jamszczykiem (woźnicą) – po 6 kopiejek od wiorsty – do Irbitu. Po drodze wprawdzie pobłądzili w ciemności i zawiei, ale o świtaniu udało się trafić na szlak. Na „stacji”, gdzie rozliczał się z pierwszym z woźniców i wynajmował następnego, w sztucznie wytworzonym ścisku okradziono go z 40 rubli, karteczki ze spisem miejscowości do Archangielska i jednego z fałszywych paszportów (dwa sobie przygotował w „zakładzie”: jeden zupełnie dobrze podrobiony, drugi – byle jak; został mu ten gorszy, nie do pokazania „urzędowym osobom”). Strata 40 rubli była dotkliwa, ale w zanadrzu miał jeszcze około 150, uciulanych ze sprzedaży drobiazgów osobistych i wypłat za prace w gorzelni; natomiast brak „przyzwoitszego” paszportu mocno komplikował poruszanie się po drogach publicznych, pozbawiał pewności siebie, zmuszał do omijania rogatek, gdzie kontrolowano dokumenty, i do nocowania oraz kupowania chleba tylko w takich miejscach, w których można było liczyć na niepiśmienność gospodarzy lub na wykręcenie się od podejrzeń czy dociekliwości za jaką drobną łapówką. Jeśli tylko konieczność dokupienia chleba lub posilenia się po kilku dobach ciepłą strawą nie zmuszała go do zaglądania do domostw – nocował w śnieżnych jamach, które wykopywał w pobliżu rosnących drzew tajgi, a gdy się zrobiło cieplej, spał po prostu na ziemi w bezpiecznym oddaleniu od drogi.

Odległość od Tary przez Tiurneń do Irbitu u wschodnich (azjatyckich) podnóży Uralu woźnicowie oszacowali mu na 1000 wiorst (w istocie było najwyżej 900); co go kosztowało w sumie aż 75 rubli. Nie targował się zbytnio, bo mu chodziło o pośpiech. Cieszył się, że w 3 doby pokonał aż tyle drogi i że sanie mknęły z prędkością – jak obliczył – przeciętnie ponad 13 wiorst na godzinę. Ale zarazem zdał sobie sprawę, że pozostałymi 75 rublami nie wolno już szastać na podwody, a po Irbitcie też nie należy kręcić się za długo, by ktoś przybyły z okolic Tary na jarmark przypadkiem go nie rozpoznał. Przy wjeździe do miasta żołnierz na rogatce za 20 kopiejek nie fatygował kozusznym chłopów grzebaniem się po mieszkach za paszportem – udało się. Przenocował w gospodzie na podłodze, zatłoczonej pokotami muzyków i jamszczyków. Rano dokupił chleba i śmiałym krokiem przeszedł rogatkę na drodze ku Uralowi. Żołnierze widząc porządnie ubranego wieśniaka, który się śpieszy, machnęli ręką.

Odtąd – nie bacząc na porę doby (bo dnie zimowe są tu krótkie) – przez jakieś 1500 wiorst co sił szedł pieszo: najpierw zaśnieżoną drogą górską do miasta Wierchoturie na wschodnim stoku Uralu, potem przez śnieżne drogi-tunele górskie do miejscowości Pawda i do miasta Solikamsk, następnie po pochyłości zachodniej Uralu doliną Kamy pomaszerował na północ do Czerdynia. Stąd skręcił na zachód w stronę miejscowości Kaj. Po pokonaniu kilkuset wiorst tajgi dobrnął do Lalska. Z Lalska było jeszcze ze 100 wiorst do miasta Wielki Ustiug nad rzeką Suchomą, zlewającą się nie opodal z Wyczegdą w nurt Dźwiny Północnej. Z Wielkiego Ustiuga Dźwiną miał jedynie ze 600 lub 700 wiorst do Archangielska.

W Solikamsku na Uralu zorientował się, że się zaczyna – bo to był przełom lutego i marca – ruch bohomolców (pielgrzymów) na odpust do sławnego monasteru na wyspach Sołowieckich na Morzu Białym. Pojedynczo lub grupami idą wytrwale przez zamrażnięty kraj, przyjmowani ufnie przez mieszkańców wsi i miasteczek – prawie nie pytani o dokumenty. Odtąd podawał się za bohomolca dążącego ku Sołowkom. W Ustiugu znalazł się na początku kwietnia po niezwykle wyczerpującym, intensywnym marszu. Na rzece barki czekały na puszczenie lodów, a w mieście gromadziły się tłumy pielgrzymów. Ulokowawszy się z jedną z grup na stłoczonej kwaterze, chadzał codziennie rano i wieczorem ze wszystkimi do cerkwi, by się nie „skompromitować”. Podobała mu się uczciwość i pobożność bohomolców – gryzł się w duchu, że musi ich oszukiwać.

Czekanie na żeglugę trwało do 10 maja. Zapas rubli skurczył się do 50. By oszczędzić na wydatku podróży, wynajął się – jak niektórzy inni bohomolcy – do prac flisackich na jednej z barek. Miało mu to przynieść 15 rubli zarobku. Na czas podróży trzeba było oddać paszport właścicielowi barki – na szczęście nie przyglądał się „bumadze”: złożył ją wraz z innymi w jakimś schowku. Pod koniec maja barka dopłynęła do Archangielska.

Tu czekał go bolesny zawód. Wprawdzie przy nabrzeżu stało sporo cudzoziemskich statków, ale przy każdym dzień i noc czuwały straże wojskowe i nie

było żadnego sposobu dostania się na pokład bez dokładnej kontroli dokumentów. O dogadaniu się z kapitanem np. w restauracji w mieście nie miał i co marzyć – muzyków nie wpuszczano do wnętrza – na ulicy zaś nie było w muzyckim kożuchu przystępu do cudzoziemca bez wzbudzenia sensacji.

Wielce utrapiony kluczył przez kilka dni po portowej części miasta – bez skutku. Dalsze wałęsanie się mogłoby zostać przez kogoś zauważone. Z bólem serca zrezygnował z pierwotnego planu i skierował się do miasta Onega. Ponad 200 wiorst przeszedł najpierw brzegiem Dźwiny do jej ujścia, następnie brzegiem Morza Białego, a potem marnym gościńcem przez tundrę. W Onedze nie zabawił długo, bo czekała go znów wielodniowa wędrówka. Tym razem na południe. Do oddalonego o jakieś 400 wiorst Kargopola maszerował wzdłuż rzeki Onegi – drogami i bezdrożami – podając się teraz za bohomolca udającego się z Wysp Sołowieckich do Ławry Peczerskiej w Kijowie, bo zorientował się, że niektórzy pielgrzymi tak właśnie czynią. Z Kargopola miał jeszcze ze 200 wiorst piechotą do miasta Wytiegra nad jeziorem Onega. Na przystani w Wytiegrze najął się znów jako flisak na barkę, by bez opłaty dostać się do Petersburga. Kanałem, potem rzeką Świr, znów kanałem wzdłuż burzliwego jeziora Ładoga i wreszcie Newą dopłynęli do śródmieścia stolicy Rosji. Był 27 czerwca, a więc miesiąc minął od wyjścia z Archangielska.

Zatrzymał się w tanim domu noclegowym, narajonym mu przez starą Karelkę, poznaną na barce. Nie musiał się zgłaszać na policji, bo właścicielka domu wołała nie meldować kilkudniowych gości, żeby nie ujawniać drobnych przychodów. Przez kilka dni próbował znaleźć na Newie jakiś statek francuski. Nie udało się. Za to 2 czy 3 lipca udało mu się przypadkiem i za niewielką cenę, jako pasażerowi nieewidencjonowanemu, dostać na pokład parowca pasażerskiego, odpływającego do Rygi. Rad, że obyło się bez przyglądania się paszportowi, obmyślał sobie „na potem” kolejną rolę: domokrażnego kupca szczeciny obchodzącego kurlandzkie dwory i wioski na zlecenie pryncypała.

Parowiec dotarł do Rygi – po parogodzinnym postoju w Rewlu (Tallinie) – w niespełna dwa dni.

Nie zwlekając wyostał się Piotrowski z Rygi i przez Kurlandię a potem przez litewską Żmudź pośpieszył ku granicy z Prusami. Po kilkunastu dniach marszu stanął w Połądze. W pogawędkach z żołdatami (chętnie wdawali się w rozmowy z wędrownym „rodakiem”) rozpoznawał możliwości przedarcia się przez kordon graniczny. Uznał, że lepiej będzie próbować przejścia z dala od miasta – i w dzień, a nie nocą, kiedy straże są czujniejsze i gęściej rozstawione, bo więcej usiłowań ucieczek i przemytu zdarza się nocami. Tak i zrobił, zaopatrzywszy się przedtem w tani zapasowy ubiór, tępą brzytwę i lusterko. Wypatrzył przy jednym z dworów miejsce z zaroślami po drugiej stronie, przybliżył się do rowów granicznych i niemal na oczach osłupiałych strażników przeskoczył je, przebiegł ze dwieście kroków i dopadł krzaków. Przycupnął wśród nich i czekał

pościgu. Skończyło się na wrzaskach i przekleństwach, ale nie zdecydowali się na naruszenie i wejście na terytorium pruskie. Bał się za dnia wychodzić na pole. Leżał do zmierzchu pod niepewną osłoną. Zgolił brodę, podciął włosy, zrzucił mużyckie odzienie i ubrał się w strój mniej egzotyczny dla Prusaków. Gdy się ściemniło, ruszył ku Kłajpedzie. Potem skierował się do Tylży. W drodze wymienił resztę rubli na talary pruskie – starczyło mu jeszcze na 12 talarów.

Po południu 26 czy 27 lipca był w Królewcu.

Dopytał się w porcie o statek do Elbląga, ale że rejs był dopiero nazajutrz rano, a bez dokumentów w mieście nie sposób było zanocować, więc postanowił wydostać się za rogatki i nocować – jak zwykł był tyle razy – w polu. Utrudzony niemiłosiernie, ale i rozluźniony wewnętrznie – wszakże mógł już uważać się za wolnego – przysiadł na chwilę na kupie kamieni pod jakimś domem. Bezwiednie przysnął tak twardo, że późną nocą dopiero po długim potrząsaniu dobudzili go wartownicy miejscy. Stwierdzili, że nie ma żadnych dokumentów i zaprowadzili do plugawego aresztu miejskiego. Rano przesłuchiwali go policjanci, po czym umieszczono go w zawoszonym i brudnym więzieniu.

Najniespodziewaniej sprawa stała się groźna. Z obawy o odesłanie do Rosji (Prusy miały umowę z Rosją o ekstradycję uciekinierów) nie mógł się przyznać, skąd przybył. Udał, że jest Francuzem, zbiegłym z przyczyn politycznych za granicę i szukającym tu pracy. Trzymano go więc przez kilka tygodni w więzieniu, by z pruską pedanterią sprawdzić przez berlińskie służby policyjne wszystko, co powiedział. Gdy się okazało, że jego wersja francuska jest fałszywa, a to groziło bezterminowym pobytom w więzieniu, wyznał, kim jest naprawdę i jak się znalazł w Królewcu. Zjednało mu to życzliwość przesłuchujących, a miejscowe gazety poinformowały o niezwykłej jego ucieczce z Syberii. Niebawem zgłosił się do policji zamożny i szacowny kupiec Kamke, Niemiec-polonofil, deklarując poręczenie za więźnia, jednakże sprawdzenie nowej wersji zeznania trwało nowe tygodnie.

Dopiero 30 września lub 1 października przychyłono się do prośby poręczyiciela. Piotrowski znalazł się w pięknym domu zaprzyjaźnionej z Kamkiem pani o nazwisku Przetak – bogatej wdowy z dwojgiem dzieci. Goszczono go tu serdecznie, obdarowano ubraniami, zapoznawano z osobliwościami miasta.

Nagle 8 października otrzymał wezwanie na policję. Powiadomiono go, że Rosja zażądała ekstradycji. Nie dowiedział się, czy był to wynik lojalności władz pruskich wobec niezbyt lubianego sojusznika, czy rezultat zabiegów królewieckiego konsula rosyjskiego, który niewątpliwie przeglądał miejscowe gazety. Urzędnicy wszakże głośno obwieściwszy hiobową nowinę po cichu dali do zrozumienia przerażonemu rozmówcy, że jeszcze mógłby się ratować.

Nie było na co czekać. Gdy wrócił z policji, przyjaciele niemieccy ukryli go, a nazajutrz skorto świt Kamke podwiózł go swoim powozem do zamiejskiej stacji dylizansów, opłacił podróż do Gdańska, dał list polecający i przekazał po-

rtmonetkę z kilkunastoma talarami jako pamiątkę od córki pani Przetak. W Gdańsku adresat listu natychmiast skontaktował przybysza z dwoma bawiącymi tu w interesach Polakami, z których jeden wręczył mu sakiewkę z talarami na podróż do Fancji. Dylizanssem pomknął do Szczecina, a dalej kolejną – i 22 października stanął w Paryżu.

Był wolny.

5

Dzisiejszy czytelnik *Pamiętników z pobytu na Syberii* przyzna – jeśliby chciał dotrzeć do któregoś z nielicznych egzemplarzy w starych bibliotekach – że wielka ucieczka i opisanie jej szczegółów daje Rufinowi Piotrowskiemu prawo do wyrazistej i trwałej obecności w dziejach naszej kultury. Podobnie jak dokonanie i opisanie niezwyklej ucieczki z jasyru daje ją siedemnastowiecznemu Markowi Jakimowskiemu, a niebywałej ucieczki statkiem z Kamczatki – osiemnastowiecznemu Beniowskiemu. Nie jest zresztą przypadkiem, że spośród wielu polskich pamiętników sybirskich właśnie wspomnienia Piotrowskiego wyróżniono tłumaczeniami. Relacja z pokonywania piechotą tysięcy kilometrów w ekstremalnym napięciu i w warunkach niewyobrażalnie trudnych to przecież zdanie sprawy z wyczynu fascynującego niezależnie niejako od motywów patriotyczno-politycznych.

Piotrowski te motywy wiele razy przywołuje, a nieraz akcentuje, bo jako emisariusz, więzień, skazaniec i uciekinier nimi się kierował i nimi niejako oddychał. Nie pisał autobiografii w takim sensie, jaki obecnie zazwyczaj nadaje się temu wyrazowi⁵. Pisał pamiętnik swojej roli, nie zaś zwierzenia intymne. Jeśli nawet chwilami swoją szczerość przybliżyła ku własnym problemom wewnętrznym, ku jakimś rozterkom serca, to z reguły chodzi – jak w opowiadaniu o spowiedzi u księdza, który go odwodził od udziału w powstaniu, uznając to za grzech – nie o sprawy czysto osobiste, lecz o partycypację w polskim losie. Także wspomnienia o niedowiarstwie, przeżywanym na emigracji wśród kolegów dowcipkujących na tematy religijne, i o późniejszym odzyskaniu wiary – nie mają niczego wspólnego z wyznaniem przeżyć intymnych, lecz są rodzajem wspomnień z uczestnictwa w kulturze duchowej, obyczaju i mentalności zbiorowej. Chce bowiem Piotrowski opowiedzieć o sobie przede wszystkim jako o Polaku walczącym o niepodległość i gotowym do poświęceń dla idei wolności.

Te zrozumiałe w jego sytuacji motywy ideowe raz po raz werbalizują się szablonowo: eksklamacjami poglądów patriotycznych, filipikami przeciw zaborcom, a zwłaszcza przeciw carowi, zapewnianiem solidarności z męczennikami, narzekaniem na mało wiernych itp.

Często jednak na tej spodziewanej przez czytelnika kanwie ideowej, podobnej do osnowy dziesiątków innych pamiętników zesłańczych i emigracyjnych,

pojawiają się informacje rzeczowe, które – zwłaszcza po latach – mają wartość przekazu dokumentalnego. Są to informacje – nierzadko szczegółowe – o rosyjskich więzieniach (nie na wszystkie narzekał), o traktowaniu więźniów, o niebezpieczeństwie jazdy kibitką, o przykrości noclegu w izbie intensywnie zapluskowanej, o „technicznych” kwestiach zakuwania w kajdany i życia w kajdanach. Wieziono go do Kijowa i do Omska skutego. Wspomina na przykład, jak po zakuciu i zabraniu „nieregulaminowej” odzieży więzień czuje się obezwładniony, upokorzony i bezradny:

„Przyniesiono bulon (tak!): ale skutymi rękoma tak jeść niedogodnie, że nim się człowiek posili, niemało w sobie złości i krwi popsuje; ta sama niedogodność z tej samej pochodząca przyczyny ciągle gniewa więźnia, gdy mu bez szelek i paska ciągle opadają spodnie, a tu trudno temu zaradzić”⁶.

Opowiada o okrucieństwie knuta, o trybie wykonywania wyroków „przepisanej” liczby pałek – relacje miał od naocznych świadków – i o regułach wleczenia na Sybir w kolumnach pieszych, w tym także o torturze przykutych przez całą drogę po kilkunastu za ręce do żelaznego drąga, a z kajdanami na nogach – mijają takie procesje na trasie do Omska. „Jeżeli się spać położyć, żaden z nich nie może się ruszyć bez obudzenia innych, a jeżeli ruch nieco jest gwałtowny, bez sprawienia bólu pewnego wszystkim tym, którzy wraz z nim do jednego drąga są przykuci.”

Uważa Piotrowski za swoją powinność – to oczywiste – podanie zapamiętanych wiadomości i wieści o „polskiej sprawie męczennikach”. Spisuje nazwiska spotykanych na Syberii rodaków, referuje zasłyszane relacje o Piotrze Wysockim, domyśla o losie Waleriana Łukasińskiego, przekazy świadków o śmiertelnej karni księdza Sierocińskiego i innych uczestników omskiego spisku skazańców; zdaje sprawę z położenia wielu katorżników, posieleńców, żołdatów z karnych batalionów itd.

Czasem – prawda, że rzadko – we wspomnienia o martyrologii zesłańczej wkrada się jakby bezwiednie odprysk obserwacji nieco niespodziewanej, na przykład gdy wiadomość o Onufrym Pietraszkiewiczu i niejakim Kozłowskim kończy Piotrowski kapitalną uwagą:

„Pietraszkiewicz z Wilna, spółluceń, spółkolega, a może i spół-filaret Adama Mickiewicza, ten już po raz trzeci z kraju wysłany, [...] dostępuje się teraz, choć już w podeszłym wieku, [...] stopnia w służbie cywilnej. Jest to bardzo poczciwy i szanowany człowiek. Tamże [...] Kozłowski, z posieleńca na profesora wzięty, także się stopnia dostępuje, jest to także światły i szanowany człowiek. Obaj choć żon nie mają, ale dzieci huk”⁷.

Znamienne, że patriotyczna żarliwość autora pamiętnika, niekiedy przechodząca w egzaltację, nie przybarwia się tonami antyrosyjskimi. Jest zdecydowanie antycarska, jest wyczulona na szowinizm antypolski urzędników i na oglupianie nienawiścią do Polski ludzi prostych – stale jednak idzie w parze z nieskrywaną

sympatią dla obyczajów rosyjskich i dla religijności prawosławnej (aczkolwiek niektóre obrzędy prawosławne – na przykład wybijanie pokłonów – kwituje protekcjonalnymi uwagami). Bywa też po słowianofilstwie przekonany, że wśród Rosjan jest – mimo demoralizującego oddziaływania caryzmu – więcej niż w Niemczech współczucia dla człowieka w potrzebie, więcej spontanicznej przychylności dla obcego i więcej życzliwości dla Polaków. Pozapisywał wiele dowodów tej życzliwości względem siebie, doznawanej nawet od ludzi „na służbie”. Opowiada na przykład o oficerze, który go konwojował z Kamieńca Podolskiego do Kijowa. Był to „Rosjanin z przekonań”, ale niczym nie ranił uczuć narodowych aresztanta; starał się być taktowny i delikatny. „Nie pozyskał on – czytamy w *Pamiętnikach* – mego serca, zasłużył jednak na wdzięczność i zyskał mój szacunek; gdybym go gdzie spotkał i zobaczył, chętnie bym mu dłoń uściskał”⁸.

Wspomina Piotrowski – jakżeż mogło być inaczej? – exempla zdziwiających od propagandy carskiej, ale o wiele chętniej opowiada o ludziach którzy mu oddali jakąś przysługę, o dłoniach pomocnych i zwyczajach potwierdzających jego pogląd o wartości moralnej ludu rosyjskiego. Można przypuszczać, że ten typ stosunku do rosyjskości nie w każdym polskim czytelniku wywoływał odzew zgody z autorem *Pamiętników*, choć takiemu czytelnikowi postronnemu jak Knut Hamsun dostarczał on dowodu na zadziwiające a piękne i tylko w słowiańskim świecie jeszcze „nie naruszone rezerwy człowieczego kruszcu”⁹.

Są w *Pamiętnikach* – zwłaszcza w tomie III, to znaczy w relacji z ucieczki – liczne wzmianki o krajobrazie i klimacie północnej Rosji i Karelii, zaświadczające przynależność Piotrowskiego do sentymentalnej i romantycznej „szkoły” widzenia natury. Są podobnego typu napomknienia o folklorze. Ciekawsze natomiast na tle tych migawek i opinii stereotypowych wydają się zapiski wynikłe bądź z doznania wzruszeń niezwykłych, bądź z odruchu czy zmysłu specyficznej praktyczności, której temu idealistcie nie brakowało i która okazała się niezmiernie ważnym sojusznikiem udatności jego przedsięwzięcia. Przeziera ten zmysł przez liczne informacje jakby dygresyjne w stosunku do głównego toku i tonu opowieści, na przykład informacje o urządzeniach łaźni przydomowych w guberniach północnych, o konstrukcji i obsłudze barek rzecznych itp. I przeziera przez swego rodzaju dociekliwość kulinarną. Dopytywał się więc Piotrowski w niektórych domach i „izbuszkach”, gdzie częstowano go posiłkami, z czego i jak przygotowywano dania, jeśli mu smakowało. Parokrotnie podaje przepisy na potrawy jego zdaniem pożywne i apetyczne, jak na przykład jakiś rodzaj barszczu, „tołokno” z przypalanej mąki owsianej, oryginalne pierogi jęczmieńskie z masłem i serem („białości nadzwyczajnej i smak mają przewyborny”¹⁰) – i inne.

Wzruszeniem zaś, które Piotrowski wspomina jako niezwykle i niezatarte, było przeżycie w pewnym domu w tajdze na skraju wioski, której nazwy nie podał. Zaszedł tam po wielodniowym marszu i noclegach w jamach śnieżnych –

uponiewierany, wygłodniały i trwożny – bo chciał się zorientować, czy dobrze idzie. Trafił na obiad. Zaprošili go do ciepłej strawy. Skwapliwie się przysiadł.

„Ale jeżeli byłem wdzięczny gospodarstwu – wspomina – za ich uprzejmość, to im nierównie byłem więcej obowiązany, że mi nastęrczyli sposobność podziwiania prawdziwej piękności. Nie od dziś już żyłem na świecie. A tułając się przez tyle lat po nim, różne widziałem kraje i rozmaite w nich zdarzało się widzieć piękności, ale piękniejszej nad tę dziewczynę, córkę gospodarstwa, ani przedtem, ani potem nie widziałem kobiety. Muszę tu opisać jej postać [...]”¹¹.

Opisuje przez półtorej stronicy, starając się nie pominąć żadnego „składnika” wyglądu, z czego oczywiście nie wynika majstersztyk portetowy, choć pewno może sobie czytelnik tego fragmentu wyobrazić siedemnastoletnią blondynkę, urodziwą, roslą i kształtną, z wieńcem grubych warkoczów na głowie, ubraną w ciemną suknię i granatowy kaftanik. Bardziej jednak do tegoż czytelnika przemawiają niektóre zdania końcowe „obrazka” (acz jego finałem jest sentencja w skali rozsądnych westchnień człowieka pocziwego):

„Zresztą było w niej to, czego opisać nie podobna, jak nie podobna opisać szczęścia, które się tylko czuje. [...] Podziękowawszy za obiad, pożegnałem pocziwych ludzi, rzuciwszy wprzód jednak wzrok ostatni na piękną Sybiraczkę. Dziwna jest jednak moc i władza prawdziwie doskonałej piękności! W moim położeniu, w moim ówczesnym stanie duszy i wszystkich władz moralnych i umysłowych, nie mogłem jednak być zupełnie obojętnym na jej powaby. Cóż by dopiero być mogło, gdybym się znajdował w szczęśliwszym położeniu? Chociaż prawdę mówiąc w podobnym to tylko położeniu więcej niż kiedykolwiek czuć się żywo daje przyjemność i szczęście spokojnego domowego życia, którego jedyną ozdobą i powabem jest dobra kobieta”¹².

* * *

Nie ma w *Pamiętnikach z pobytu na Syberii* refleksji zaskakujących. Wizerunek Rufina Piotrowskiego wyłaniający się z dzieła nie poruszy nas intelektualną głębią. Jest to jednak wizerunek człowieka, który przy całej swej zwyczajności dziewiętnastowiecznego myślenia polskiego wyróżnia się niezwykłą ufnością we własne siły i poczuciem obowiązku, idącym w parze z wyrozumiałością dla innych ludzi, ciekawością świata i pasją życia. To przydaje jego dramatycznej przygodzie i jego dążeniu do wolności „barw” prawdziwie ujmujących oraz sprawia, że jego *Pamiętnik* – tak bardzo dziewiętnastowieczny i tak bardzo polski – mówi nie tylko o Polaku w XIX wieku.

Przypisy

¹ Wiorsta to dawna rosyjska miara długości równa 1066,8 m

² Zob. biogram Rufina Piotrowskiego pióra A. Biernackiego w *Polskim Słowniku Biograficznym* (t. XXVI, Wrocław 1981, s. 503-506).

³ Anonimowa recenzja *Pamiętników* ukazała się w „Dzienniku Literackim” 1860, t. I, nr 82-86, a recenzja Rollego z *Ucieczki z Syberii* w „Gazecie Lwowskiej” 1902, nr 168.

⁴ Zob. P. Lejeune, *Pakt autobiograficzny*. Tłum A.W. Labuda. „Teksty” 1975, nr 5, s. 31-49.

⁵ Chodzi tu o eksponowanie indywidualności i szczerości oraz prywatności lub intymności. G. Gunsdorf (*Warunki i ograniczenia autobiografii*. Tłum J. Barczyński. „Pamiętnik Literacki” 1979, z. 1, s. 269) sądzi, że są to niejako warunki „autobiografii w ścisłym znaczeniu”.

⁶ R. Piotrowski, *Pamiętniki z pobytu na Syberii*, T. II. Poznań 1861, s. 6.

⁷ R. Piotrowski, *Pamiętniki...* T. III. Poznań 1861, s. 5.

⁸ R. Piotrowski, *Pamiętniki...* T. I. Poznań 1860, s. 309.

⁹ K. Hamsun, [*Przedmowa*], [w:] R. Piotrowski, *En Polsk Flyktnings Historiae*. Oversatt efter Julian Klaczkos franske utgave av A. Harbitz. Oslo 1934, s. 6. Za przetłumaczenie mi fragmentów tekstu Hamsuna dziękuję p. Marii Skibińskiej z Katedry Skandynawistyki UG.

¹⁰ R. Piotrowski, *Pamiętniki...* T. III, s. 109.

¹¹ Tamże, s. 67.

¹² Tamże, s. 68.